

Waldemar BORZESTOWSKI

JUDASZE

Tragedią naszych czasów jest, że wyrugowały ducha. Tam, gdzie była religia, zawierzenie, pokorne pochycenie głowy, dziś pojawia się magia, demon wiecznego nienasycenia. Mamy przed sobą świat absolutnie cielesny. Dziś liczy się ciało, jego zdrowie, siła, młodość i sukces.

Chrystus powiedział: „biada temu człowiekowi, przez którego Syn Człowieczy będzie wydany. Byłoby lepiej dla tego człowieka, gdyby się nie narodził” (Mt 26, 24).

PRELUDIUM

Gdyby nie było zdrady mojego ojca i grzechu matki, nie pojawiłbym się na tym świecie. Przyszedłem bowiem na świat jako dziecko nieślubne, wyraźny owoc złamania jednego z dziesięciu przykazań Bożych. Moje przybycie wstrząsnęło życiem przynajmniej kilkunastu ludzi, wielu z nich płakało i zapewne z wyjątkiem tych, które wylała moja matka, były to łzy wielkiego smutku, bezsilnej złości, potwornego gniewu. Czy grzech moich rodziców, pierwszych, jedynych, można określić mianem pierworodnego? Czy wody chrztu, które w trzecim miesiącu życia polały się na moją głowę, zmyły ze mnie także to, co oni zrobili bez mojej woli? Przecież przez wiele lat jeszcze miałem odczuwać wszystkie związane z moim pochodzeniem braki, odrzucenia i biedy, a niejedną bliznę po dziś dzień noszę ukrytą głęboko w sercu. A zatem – czy powinienem się nie urodzić? Czy moja matka, w trosce o dobre imię i spokój mego ojca, powinna mnie wyssać z siebie, wyrzucić na śmietnik pokrojonego w kawałeczki?

Jestem dzieckiem zdrady i grzechu, podrzutkiem, bękartem, bastardem, mamzerim. W niektórych religiach tacy jak ja nie wchodzą „do Zgromadzenia Pana”, a oczyszczenie obiecuje się im dopiero z nadejściem Mesjasza. Moja przeszłość staje przede mną bolesna, choć odpowiedziałem już sobie dawno na pytanie, czy powinienem się urodzić. Pomogła mi w tym rodzina, którą założyłem, moi najbliżsi. Dla nich jestem kimś ważnym, niezbędnie potrzebnym mężem, ojcem. Wierzę, że dla Boga moje istnienie również jest ważne, że On kocha mnie – czuję to od dzieciństwa. Kiedy mój naturalny ojciec pewnego razu, z dnia na dzień, przestał odpisywać na moje listy, przyzwyczaiłem się Ojca

w górze uważać za swego. Miałem do Niego prawo. Nie brałem Mu tego za złe, że jest także Ojcem innych. Wielkość jego serca nie nosiła w sobie zdrady, byłem przekonany, że mój Ojciec niebieski, choć sprawiedliwy i surowy, jest dla mnie najlepszy. Nie byłem przez Niego rozpieszczany.

„KTÓRY WŁAŚNIE GO WYDAŁ” (Mk 3, 19)

Tysiące ksiązek poświęcono Judaszowi, można nawet odnieść wrażenie, że to bodaj najpopularniejszy, obok Piotra, uczeń Jezusa. Kiedy wpisałem do internetowej wyszukiwarki jego imię, znalazło się tysiące adresów, wiele z nich założyli wyznawcy szatana. Sprawdziłem tylko kilkadziesiąt. Myśląc o Judaszu, czytałem Nowy Testament i pisma Ojców Kościoła. Poświęciłem mu wiele wieczorów. Dowiedziałem się, że imię Judasz brzmi po hebrajsku Jehuda i było bardzo popularne wśród Żydów w czasach Chrystusa. W gronie apostołów było aż dwóch Judaszów, jeden był synem Jakuba, drugi synem Szymona. Pierwszego w przekładach nazywa się „Judą”, drugiego Judaszem. Pochodził z miejscowości zwanej Kariot, tak bowiem należy przełożyć często towarzyszące jego imieniu hebrajskie *isz Qarioth* – „człowiek z Kariotu”. Przypuszcza się, że chodzi o miasteczko leżące w południowej Judei, a więc Judasz był jedynym Judejczykiem wśród najbliższego grona uczniów Jezusa. Inni pochodzili z Galilei. Sprawował wśród nich urząd skarbnika, nosił specjalną torbę, w której przechowywał ofiary składane na rzecz utrzymania Jezusa i jego uczniów. Z tych pieniędzy wspomagano także ubogich. Jan pisze, że Judasz był złodziejem, że podkradał ze wspólnej kasy. Jezus, który z całą pewnością wiedział o tym, dał mu szansę zostania uczniem wiernym. Jezus czekał cierpliwie. Judasz poczytał to widocznie za słabość. Nie skorzystał z czasu, który mu ofiarowano, z pewnością nie przeczuwał, że stając się złodziejem, wkroczył na drogę, która wiodła go w stronę mordu. Jeden grzech, tak to bywa, pociąga za sobą tysiąc następnych. Szatan wkracza do serca człowieka przez leciutko uchylone drzwi, rzadko kto od razu otwiera je dla niego na oścież. Kiedy Jezus, jeszcze w Galilei, zapowiedział ustanowienie Eucharystii (J 6, 22-64), wielu do tej pory słuchających Go odeszło, Judasz pozostał, ale wyraźnie stanął po stronie zgorszonych. Do niego zwrócił się Jezus: „«Lecz pośród was są tacy, którzy nie wierzą». Jezus bowiem od początku wiedział, którzy nie wierzą, i kto ma Go wydać” (J 6, 64).

Nadchodził czas Paschy, czas Przejścia. W przeddzień triumfalnego wjazdu do Jerozolimy Maria namaściła stopy Jezusa drogim olejkiem nardowym. Judasz wprawnym okiem wycenił go na trzysta denarów (J 12, 1-5). Była to kwota naprawdę duża, jeszcze za cesarza Augusta denar stanowił bowiem dniówkę zwykłego robotnika. Skarbnik nie ukrywał swego oburzenia, według niego olej można by sprzedać, a pieniędzmi wesprzeć potrzebujących. Jego intencja wydaje się szlachetna, podobnie jak szlachetne wydają się niekiedy intencje sza-

tana, zwłaszcza gdy mówi o wolności, potrzebie poznania tego, co dobre, a co złe. Jan, będący świadkiem tych zdarzeń i dobrze znający Judasza, nie miał jednak złudzeń: „Powiedział zaś to nie dlatego, że dbał o biednych, ale ponieważ był złodziejem i mając trzos, wykrađał to, co składano” (J 12, 6). Trudno znaleźć jakiegokolwiek okoliczności łagodzące dla tego zbrodniarza. To on sam, osobiście, poszedł do pałacu arcykapłana – „Poszedł więc i zmówił się z arcykapłanami oraz dowódcami straży, jak ma im Go wydać. Ucieszyli się i ułożyli się z nim, że dadzą mu pieniądze” (Łk 22, 4-5). Sam też zażądał zapłaty za wydanie Jezusa: „Co chcecie mi dać, a ja wam Go wydam?” (Mt 26, 15), i zadowolił się kwotą dość lichą: „A oni wyznaczili mu trzydzieści srebrników” (Mt 26, 15). Tyle mógł zarobić robotnik w winnicy przez cztery miesiące, tyle musiałby zapłacić według prawa właściciel tego wołu, który stratowałby niewolnika lub niewolnicę jego panu. Uczni przez wiele wieków zastanawiali się, kiedy Judasz opuścił Wieczernik. Interesowała ich kwestia, czy nastąpiło to przed, czy po ustanowieniu Eucharystii. Choć większość dziś skłania się do pierwszej ewentualności, warto zwrócić uwagę na konsekwencje drugiej. Zdrajca stałby się wówczas świętokradcą, prawdziwie zasługującym na to, aby – jak napisał Jan – „wstał w niego szatan” (J 13, 27). Judasz zauważywszy, że uczta dobiegła kresu, pobiegł w noc. Czekano na niego, oddział żołnierzy gotowy był do wymarszu. Na ich czele zdrajca wkroczył do ogrodu zwanego Getsemani. Wiedział, że tam zatrzymają się Jezus i jego uczniowie. Judasz sam wybrał sposób wskazania swojego nauczyciela, podszedł doń i pocałował go, jak przyjaciel. Bez drżenia splugawił znak miłości, przyjaźni, pokoju. Bóg przywitał go: „Przyjacielu, po coś przyszedł?” (Mt 26, 50). Po raz drugi w historii świata ogród stał się miejscem potwornej zdrady.

Gdy zbierałem materiały do napisania tego tekstu, spotkałem się z tak wieloma zarysowanymi przez literatów i filozofów portretami Judasza, że zaczęły mnie one przytłaczać. Niektórzy pisarze chcieliby w tej skądinąd tragicznej postaci widzieć męczennika jakiejś wielkiej sprawy, kogoś, kto poświęcił się dla zbawienia całego świata. Bo przecież, aby spełniły się słowa prorocstwa, ktoś musiał wydać Syna Człowieczego na śmierć. Judasz dla niektórych urasta do roli bohatera męczennika. Kainici, sekta gnostycka z drugiego wieku, uważali, że wydając Jezusa Judasz pokrzyżował plany złego Boga, Demiurga-Jahwe, który nie chciał odkupienia ludzi. Ktoś napisał nawet ewangelię Judasza, która w całości była jednym wielkim usprawiedliwieniem jego postępowania. Niektórzy literaci starali się przekonać swoich czytelników, że zdrajca, wydając Jezusa, zamierzał zmusić Go do działania, do objawienia Jego mesjańskiej mocy, podjęcia walki z rzymskim okupantem. Judasz stał się patriotą. W innej wersji tego samego nurtu istnieje tłumaczenie, że Judasz zdradził, ponieważ był zawiedziony nauczaniem swego mistrza, z obawy, że za sprawą Jezusa mogą spaść na żydowski naród rozmaite, zbyteczne biedy. Idąc tym tokiem rozumowania, zdrajca mylił się co prawda, ale postępował zgodnie z własnym sumieniem.

Wielu chce widzieć w Judaszu kogoś szczególnego, człowieka, którym nie kierowały tylko i wyłącznie niskie pobudki, takie jak zawiść, chciwość, głupota. Zapominają, że on, wybrany na jednego z apostołów, dał się opętać, że zło w czystej formie zagościło w jego sercu, zanim jeszcze pojawił się w Ogrójcu na czele zbrojnych. Diabeł nie pojawia się tam, gdzie go nie chcą. Judasz musiał go zaprosić. Odrzucam to wszystko, co napisali znakomici skądinąd pisarze, specjaliści od psychologii, teologowie różnych wyznań. Nie mam zamiaru wychodzić poza literę tego, co mówi Nowy Testament. Poza tym, znam Judasza dobrze, jestem jego synem i wiem, dlaczego zdradził, nie jeden raz, ale wielokrotnie, kuszony zazwyczaj ulegał pokusom, karcony udawał skruchę, kulił ogon, aby już po chwili wynosić się ponad bliźnich, on – bez skrupułów krzywdzący swoich najbliższych, on – bez przerwy udający kogoś innego, on – kłamacz. Zdradził, bo był zdrajcą. Taka była jego natura, od początku, od urodzenia. Przyszedł na świat, aby zdradzać. To przeznaczenie płynęło w jego krwi. Być może tak samo jest ze mną, siła genów jest przecież ogromna, mówi się często, że niedaleko pada jabłko od jabłoni. Być może też urodziłem się, aby zdradzać, być wiarołomnym, iść po trupach do celu, na kłamstwie i krzywdzie budować swoją przyszłość. To bardzo prawdopodobne.

OPISANIE ZDRADY: „CO MASZ UCZYNIĆ, CZYŃ PRĘDZEJ!” (J 13, 27)

FAZA I

Kilka miesięcy temu poznaliśmy pewne młode małżeństwo. Razem wyjeżdżaliśmy na Kaszuby do ośrodka wypoczynkowego nad jeziorem w kształcie krzyża. Mieli synka, który nas zachwycił, dwuipółletnie dziecko, rezolutne i wesołe. Byli bardzo sympatyczni, tak on, jak i ona. Razem chodziliśmy na ognisko i organizowane w ośrodku zabawy. Wtedy nikt nie przeczuwał, że dzieje się z nimi coś złego. Byli tacy młodzi, pięć lat po ślubie, oczekiwali na mieszkanie, kupili sobie samochód. Dobry początek. Prosta ścieżka. Nie wiedziałem wówczas, że ona podejrzewa go o zdradę. Nie pamiętam, co obudziło jej pierwszy niepokój, być może to, że coraz dłużej zostawał w pracy, że coraz częściej powracał do domu na rauszu. Zaczęła przyglądać się jego telefonicznym rachunkom, okazało się, że wzrosły niewspółmiernie, zażądała bilingu i wtedy była już pewna – on ma romans. Jeden numer powtarzał się tam bezustannie, on dzwonił tam nocą i wtedy, kiedy ona wychodziła z domu.

Ach, cóż to za dar, sposobność. Dzisiejsze czasy dają człowiekowi wiele możliwości „bezpiecznego” przeżycia niebezpiecznej przygody, dość łatwo można się otworzyć przed drugim człowiekiem na czacie, poznać kogoś, zwieńczyć się, poflirtować – od tego jest komórka, SMS-y, internet. Elektronika działa cuda. Diabeł czuwa, jest zawsze blisko, krąży wokół niczym lew, gotów w każdej chwili pożreć swoją ofiarę. Tysiące kosmatych, czarnych myśli poru-

sza się w głowie człowieka, który pozwoli sobie na brak czujności. Wszystko wydaje mu się lepsze od tego, co posiada, czuje się pokrzywdzony monotonią życia, chciałby doświadczać przygód młodości, sprawdzać się, wciąż sprawdzać i grzeszyć, grzeszyć, nie ponosząc żadnych konsekwencji. Z ukrycia własnej choroby, która spadła nagle na mnie i podcięła korzenie mojego życia, dowiadywałem się o losie młodych, modliłem się za nich szczerze całymi godzinami i poniosłem klęskę. To bowiem, co się zaczęło psuć, psuło się dalej, ich choroba okazała się cięższa od mojej.

Doprawdy, łajdactwo do czasu bywa radosne, podobnie jest z piciem wódki. Kto obudził się kiedyś nad ranem z miską obok łóżka, pogiętym filmem wspomnień z poprzedniego wieczora, obolałą głową i suchością w ustach, wie o czym mówię. Kac – to słowo warto zapamiętać, to kac będzie nam towarzyszył podczas Paruzji. Z powodu wielkiego kaca wielu z nas nie będzie w stanie ruszyć za Chrystusem w ostatnią drogę. Żona, siadając przy szpitalnym łóżku, opowiadała mi ich historię, żyła nią i cierpiała. Dziewczyna, podejrzewając jego zdradę, chciała z nim porozmawiać szczerze, dowiedzieć się, co ma o tym wszystkim myśleć. On kłamał i być może nie byłoby w tym wielkiego zła, gdyby to kłamstwo pozwoliło mu zawrócić ze złej drogi. On jednak nie zamierzał niczego kończyć. Zasmakował w grzechu, jego brzuch, wnętrzności i lędźwie wypełniała radość spożywania, trawienia i wydalania. On czuł się królem życia, kimś, kogo nagle na wszystko stać, kto ma prawo do objadania się swoim i cudzym, brania, cokolwiek mu się spodoba.

FAZA II

Czy zaszedłszy tak daleko, potrafiłby odrzucić koronę i znowu stać się żebrakiem? Bóg... Cóż Bóg mógłby mu ofiarować? Powiedział więc do swojej przed Bogiem poślubionej żony, że nie ma nikogo innego, wmawiał jej nawet psychiczną chorobę, powtarzał: to bzdura, bzdura, bzdura! Ach, jakież to było ekscytujące... mieć dwie kobiety jednocześnie, sycić się nimi, nie będąc zmuszony nikogo wybierać. W amerykańskich filmach oglądał takie historie, a teraz tworzył je ot tak, mógł z rzeczywistością robić, co mu się podobało. Ona kochała go, wciąż kochała i bardzo, bardzo chciała mu wierzyć. Wypchnięta na skraj przepaści, stała tam wiele dni, nie wiedząc, co począć, bała się zwrócić do swoich rodziców, bała się każdego dnia. On był dla niej całym światem, bogiem. Pomodliłaby się do niego, gdyby tylko obiecał, że nie będzie więcej musiała o tym myśleć. Gdyby wyznał jej miłość, płakałaby trzy noce.

Cóż z tego... Diabeł nie zna litości, człowiek też, gdy odda się w jego służbę. On niewiele sobie robił z jej bólu, odrzucał go, bo był mu kulą u nogi. Uciekał z domu coraz częściej i na coraz dłużej. Jego radość nie miała granic, krążył po mieście, szczebiocząc jak ptak, udawał przed światem na tysiące sposobów kogoś, kim dawno być przestał, kim – być może – nigdy nie był. Pił, bawił się

w towarzystwie takich jak on nieszczęśników. Z grzesznika skrytego stał się grzesznikiem zuchwałym, sługą ciemności o nietoperzych skrzydłach, wampirem wypijającym krew z najbliższych, demonem własnej zagłady, trupem śmierdzącym i obrzydliwym, kupą łajna. Ona nie widziała wyjścia z sytuacji. Któregoś dnia, wylewając morze łez, wyrzuciła go z domu. Tego dnia brzytew przecięła jej serce, jej młodość i naiwność została rzucona na podłogę dworcowego szaletu, świętość uczucia stała się szmatą. Z uśmiechem przyjął tę propozycję. Będiesz mnie jeszcze prosiła, abym wrócił – tak powiedział. Miał rację. Nie minęło kilka tygodni, gdy zaczęła za nim biegać, pracowali w jednym zakładzie, mogła go odszukać. Codziennie wysyłała do niego setki wiadomości, chodziła pod jego dom, dzwoniła, prosiła. Bardzo zależało jej na utrzymaniu tego związku, był uświęcony, dotąd szczęśliwy. Nie wyobrażała sobie życia bez niego. Ich syn bardzo mocno przeżył rozstanie z ojcem, całymi nocami nie mógł zasnąć, płakał, zaczął kłamać. Dziadkowi opowiadał o spotkaniach z ojcem, których nie było, powtarzał bez przerwy: tatulku, tatulku. Dla dziecka było nie do pojęcia, że on, jego alfa i omega, nie chciał go zobaczyć, zagrać z nim w piłkę albo pobawić się samochodzikami.

Wszystkim wokół krwawiło serce, ale nie winowajcy, on odkrywał na nowo swoją wolność. W gronie kolegów od kieliszka i dziewczyn niemal lekkich obyczajów bawił się do rana, powtarzając – jak to zazwyczaj czynią skrajni głupcy – Boga nie ma! Ani myślał odwiedzać swojego syna. Walka trwała, lecz ja coraz mniejsze miałem nadzieje, że wygra właściwa strona. Jego żona, ona – teraz strzęp człowieka, wspomnienie dawnej urody i blasku – poniżała się straszliwie, gotowa przyjąć go na niemal każdych warunkach, byle wrócił. Wyrzucała sobie, że kazała mu odejść, że złościła się, kiedy przychodził do domu pijany. W niego tymczasem, jak w Judasza, wstąpił diabeł, grał na nim, jak chciał, uczynił z niego – świątyni Pańskiej – mebel. Zdrajca, nie dostrzegając tego, czuł się silny jak nigdy dotąd, miał teraz swoje trzy minuty przed zatriciem, wykorzystywał moment swojego triumfu. Posunął się nawet do tego, by zaproponować jej trójkąt – ona, on i tamta dziewczyna. Czemu nie? Łapiecie się za głowę, czytelnicy, ja też się złapałem. We współczesnym świecie seks to potęga, bez udanego seksu nie ma zdrowych małżeństw, społeczeństw, przyszłości. To udany seks jest barometrem związku. Kiedy coś nie wychodzi, może warto rozejrzeć się za nowym partnerem albo popробować czegoś nowego. Z inną kobietą, z dwiema kobietami, z mężczyzną, a może z dzieckiem. To wolność, cudowna wolność, często – gdy o niej myślę – robi mi się niedobrze.

Bardzo ciężko wtedy chorowałem. Wiadomości z tamtej strony świata dochodziły do mnie po czasie, nikt nie chciał mnie zasmucać. Krótką przerwę w leczeniu wykorzystaliśmy na wyjazd. Był październik. Dni zimne i pochmurne. Trafiliśmy w to samo miejsce, co latem, nad jezioro w kształcie krzyża, do sosnowego lasu. Niespodziewanie dowiedziałem się, że oni zamieszkają w domku tuż obok nas. A więc jednak – ucieszyłem się. Pograżony w świecie włas-

nych obaw, udręczony bólem, spoglądałem na nich z nadzieją. Modliłem się też gorąco, aby Bóg rozbudził w jego sercu dawną miłość. Miałem wielką nadzieję, że ich wspólny wyjazd stanowi dla ich związku pozytywny przełom. Pogodzą się – mówiłem do żony – Patrz, jak Bóg działa, dotrzymuje danego słowa, stara się na wszelki możliwy sposób pojednać ich, daje czas, przygotowuje miejsce. Towarzyszyliśmy im w tych dniach i – jakkolwiek zabrzmiało to dziwnie – cieszyliśmy się ich nocami, bo przecież ludzi kochających się jednoczy wszystko. Wierzyłem, że los może się odmienić. Potem moja choroba wrzuciła mnie w szpitalną przestrzeń. Dość nagle odleciałem ku miejscom otwartym na absolut, moje życie skurczyło się. Cierpiałem. Odwiedzała mnie żona. Pewnego dnia opowiedziała mi dalszy ciąg historii tamtych dwojga. Była niewiarygodna.

FAZA III

Zaraz po powrocie z cudownego weekendu on udał się do tamtej. Chyba wystraszył się, że jego łajdacka przygoda mogłaby się w ten banalny sposób zakończyć. Nie – zdecydował. Uwolniwszy się z więzów, nie zamierzał wplątywać się w nie ponownie. Zdradzić żonę – to banal, zdradzić Chrystusa – także. Kim jest Chrystus? Zabije mnie za to? Od kochanki zadzwonił do żony, był pijany, śmiał się i mówił, że nie zamierza do niej wracać. To była zabawa – powiedział. To samo powtórzył następnego dnia na trzeźwo. Złamał dziewczynie serce, zaczęła chudnąć, łykała tabletki na uspokojenie, wreszcie zachorowała. Od wspólnych przyjaciół dowiadywała się, że ten, kogo kochała, kogo zawsze była pewna, wielokrotnie zdradzał ją już wcześniej. Ona tego nie widziała, zaślepiona miłością, żyjąca dla niego, wierna, dobra. Była ślepa, tak strasznie ślepa... Tyle łez wylała przez niego, że mogłoby z nich powstać morze. Diabeł zacierał ręce, miał nadzieję, że gubiąc jedną duszę, zdoła także pograżyć drugą. Wokół niej także zaczął się jego drapieżny taniec. Dość szybko pojawili się pocieszyciele strapionych, łajdacy chcący wykorzystać cierpiącą. Jest ich wielu, cierpiąc, nie spodziewajcie się za wiele współczucia i pomocy. Módlcie się do Boga, lecz uważajcie na ludzi. Wokół wielu jest niegodziwców, którzy zatraciwszy swoje dusze, gotowi są na wszystko. To ómy mające ochotę spalić się w ogniu własnej pożądliwości. Potworne, tragiczne, nieszczęsne duchy, padlinożercy, ludzie żyjący na krzywdzie i bólu swoich bliźnich, nieszczęśni, po trzykroć skazani na zatracenie, gotowi w otchłań wciągnąć każdego, kto im się trafi. Widziałem ich wielu – to myśliwi ostatniej godziny, żyjący triumfem ostatniego strzału. Przekłęci z powodu własnego zaprzaństwa, grzesznicy przygotowani na ogień własnej nędzy, konsumenci drugiego i trzeciego małżeństwa. Ludzie zmarnowanych szans, potłuczonych ambicji. Poznałem ich w życiu mnóstwo. Potrzaskani, dryfowali ku zatraceniu i nic nie było w stanie zatrzymać ich w tym biegu. Dość w życiu wysłuchałem ich opowieści o tym, że żona mnie nie kocha, że wszystko jest rozczarowaniem. Świat bez Boga jest mroczny,

wszystko wiedzie ku nicości. Piekło dyszy w oddechu grzesznika, każdy dzień ma swoją łajdacką biedę.

Przez długi czas nie mogłem oglądać zdjęć, które zrobiliśmy podczas tego ostatniego ze wspólnych wyjazdów. Nie mogłem uwierzyć, że był w stanie zrobić jej i swojemu dziecku taką krzywdę. Patrząc na te zdjęcia, stawałem się jemu podobny, mówiłem: ty głupi gnojku... A przecież powinienem widzieć w nim brata. Bóg kocha go, nie mam co do tego wątpliwości i dlatego pozwoli mu już tu, na ziemi, odpokutować wszystkie niegodziwości. Będzie walczył o niego do końca, nie obrzydzi się jego plugastwem, bo chce mu ofiarować prawdziwe życie. Do końca będzie wyciągał do niego swoją litościwą, miłosierdną rękę. Od człowieka, od Judasza zależy, czy zechce nawrócić się, czy wybierze stryczek, śmierć w dolinie Gehenny, gdzie kiedyś ku czci Molocha wrzucano niemowlęta do ognistego pieca, albo inną jeszcze, równie przerażającą zaturę – stanie się żywym trupem już teraz i nigdy tego nie zauważy. Zauroczonej diabelskim uśmiechem, przejdzie życie bez poczucia wyrządzonej krzywdy i bez wyrzutów sumienia. Na końcu tej wędrówki czeka nań ciemność, pęta i zgrzytanie zębami.

O PRZEZNACZENIU

„«Czyż nie wybrałem was dwunastu? A jeden z was jest diabłem». Mówił zaś o Judaszu, synu Szymona Iskarioty. Ten bowiem miał go zdradzić, a był jednym z dwunastu” (J 6, 71-72).

Przed dwudziestu laty przysięgałem wierność i uczciwość małżeńską kobiecie, którą pokochałem od pierwszego wejrzenia. Poznaliśmy się w szkole średniej i po trzech latach wzięliśmy Boga na świadka, że chcemy być razem. Doczekaliśmy się dwójki dzieci. Przeszliśmy swoje. Długo błakaliśmy się po świecie bez własnego kąta. Byliśmy tak biedni, że gdyby to opisać, niewielu dałoby wiarę. Taka bieda może stać się przekleństwem. Nas wyzwoliła. Na materię nauczyliśmy się spoglądać nieco inaczej niż znaczna część znajomych. Także sukces od początku pojmowaliśmy w innych kategoriach. Na swój sposób kalecy dla świata, przywykliśmy wszystko zawierzać Bogu, tylko na Niego mogliśmy liczyć, tylko od Niego mogliśmy się spodziewać pomocy. Wierzyliśmy, że to, co nam daje, jest najlepsze. Nawet ta bieda, poniżenie i łzy miały swoje znaczenie. To, być może, nas, a przede wszystkim mnie, uratowało. W sytuacjach trudnych zdawałem się absolutnie na Jego wolę. Modliłem się i szukałem odpowiedzi w Piśmie Świętym.

Długo zastanawiałem się, dlaczego Judasz i mój ojciec oraz mąż koleżanki zachowali się tak haniebnie, co ich do tego skłoniło. Tylko jedną znajduję odpowiedź: byli zdrajcami od urodzenia, nosili we krwi wiarołomstwo, jak inni noszą dobroć, łaskawość, miłosierdzie, prawdę. Z moich obserwacji wynika, że

człowiek niewiele się w swoim życiu zmienia i nawet jeżeli przez długi czas pilnuje odpowiedniego kursu, to wcześniej lub później idzie za głosem swoich pragnień. Predestynacja – tak nazywają to kalwini. Ale nie do końca. Judasz mógł nie zdradzić, jestem tego pewien. Bóg z pewnością wielokrotnie odwoływał się do jego sumienia. Tak zapewne było również w wypadku mojego ojca, nie mam co do tego wątpliwości. Bóg jest miłosierny, chroni nas przed złym, ostrzega, stawia przeszkody na drodze do naszej zagłady. Kiedy staniemy przed Jego trybunałem, nie będziemy mogli udawać, że grzeszyliśmy, nie zdając sobie z tego sprawy. Oskarżyciel powoła wielu świadków łamania przez nas dziesięciorga przykazań, przemówią przeciwko nam ludzie, ściany i podłogi. Podczas ostatniej wieczerzy Jezus, patrząc głęboko w oczy Judasza, mówił mu przecież, że to on Go zdradzi. Dawał mu ostatnią szansę zawrócenia z drogi.

Czasami jedna chwila decyduje o naszym życiu. Bóg stawia przed nami błogosławieństwo i przekleństwo, życie i śmierć. Możemy wybierać, jesteśmy wolni. Ktoś powie: jaki to wybór, skoro Judasz urodził się jako zdrajca. Wszyscy mamy skłonności, które napawają nas lękiem, skłonności do złodziejstwa, cudzołóstwa, kłamstwa, a nawet mordy. Nic na to nie możemy poradzić. Dziedziczymy je po przodkach, swoich dziadach i pradziadach. Są przypisane do nas, są poniekąd naszym przekleństwem. Każdy może uczynić z nich wieko swojej trumny lub krzyż błogosławieństwa. Napisałem, iż nie wierzę, że człowiek sam z siebie jest w stanie się zmienić, ale to, co niemożliwe jest dla człowieka, jest możliwe dla Boga. Judasz mógłby nie zdradzić, gdyby oddał się Bogu, gdyby Mu zaufał, stanął po Jego stronie. Chrystus umarłby na krzyżu, ale nie za jego sprawą. Kto byłby zdrajcą? Może nikt, a z pewnością nikt z dwunastu.

Porzucić siebie – oto jedyny ratunek dla każdego człowieka, innego sposobu nie znam. Porzucić siebie i stać się Chrystusem. Bez takiej przemiany jesteśmy bez szans. Pochłonie nas grzech, a szatan wcześniej czy później nadzieje nas na widły. Tylko jako Chrystus jestem w stanie się mu przeciwstawić. Takie zawierzenie mogło uratować Judasza. Kimże ja jestem bez Boga? Śmieciem, pyłem, kłębowskiem pożądlivosti, workiem plugastwa, bez Boga jestem niczym. Wystarczy, że choć na chwilę zapomnę o Jego przykazaniach, a już ginę. Wystarczy, że na jeden dzień przestanę się modlić, a już upadam. Codziennie więc zabijam siebie, aby stać się podobny do Niego. Wiem, że tylko w ten sposób osiągnę zbawienie. Bo jestem z natury zły, skłonny do grzechu, bo ze względu na to, co zrobiłem do tej pory, zasługuję na śmierć, a przecież żyję.

Judasze nie zamierzał jednak porzucić siebie, to nie on zawiódł, lecz Bóg, który nie chciał mu dać tego, czego Judasz oczekiwał. Któregoś dnia i przy mnie usiadł diabeł, ten sam, który wcześniej siedział przy Judaszu. Powiedział: To twój koniec, Bóg nie wybaczy ci wszystkiego. Kiedyś twoje winy upomną się o ciebie i trafisz tam, gdzie ja będę na ciebie czekał, do piekła. Będziesz się smażył na wolnym ogniu i rozpamiętywał to, co straciłeś, co powinieneś był

zrobić, a czego nie zrobiłeś. Ujrzysz ogień swego zatracenia, będziesz spał tysiąc lat na drzewie własnego grzechu, jak larwa, jak owoc zgniły, staniesz się własną śmiercią, smutną w obliczu absolutnej zraty, w obliczu tego, co zwykliśmy określać słowami „na wieki wieków. Amen”. Takie są słowa diabła – nie dają żadnej nadziei. Judasz powiesił się i to stanowi najlepszy dowód na to, jak bardzo oddalił się on od Boga. Przekonany, że wydał na śmierć niewinnego, nie wierzył w miłosierdzie, w wybaczenie, które nie ma granic. Judasz-zdrajca do końca zaufał szatanowi-zdrajcy. Był bardziej gotów przyjąć z jego ręki śmierć wieczną, niż z ręki Zbawiciela otrzymać wybawienie. Bliższe mu było piekło, jego jad i potępienie. Było w nim samym coś diabelskiego. Nie na próżno Jan nazwał Judasza „diabłem” (J 6, 70) i „synem zatracenia” (J 17, 12).

JEDYNA NADZIEJA

Kilka miesięcy temu, po dwudziestu czterech latach milczenia, podjąłem dialog z moim naturalnym ojcem. Zadzwoił, gdy zmarła jego żona, pięć lat po śmierci mojej matki, a jego dawnej kochanki. Sam nie wiem po co. Nie usprawiedliwiał się specjalnie, nie prosił o wybaczenie, nie zamierzał zadośćuczynić. „Jest stary – pomyślałem – stoi nad grobem, powinienem mu wybaczyć, aby nie żyć dłużej w przekleństwie, a także by uspokoić jego sumienie”. To nie było proste. Wybaczyłem mu wszystko, choć on wcale tego nie pragnął. Być może powinienem być moim rodzicielom wdzięczny. Powołali mnie przecież do życia, oni – wiarołomni, wbrew logice świata, który tego rodzaju dzieci skazuje często na śmierć. Urodziła mnie moja matka, kochali mnie dziadkowie, Bóg mi błogosławił. Mimo to, trudno mi z nim rozmawiać. W bogatym świecie mój ojciec zbudował gmach swojego sukcesu i wciąż myśli, że było warto. Nawet teraz, po tym wszystkim, usiłuje mnie pouczać, mówi, co zaniedbałem i dlaczego jestem tym, kim jestem, czyli – w jego rozumieniu – nikim. Nie zastanawia się, że po drodze skrzywdził tak wielu ludzi. Mój ojciec, który był dla mnie przez całe lata największym wrogiem, potem zagadką, teraz jest dla mnie wielkim rozczarowaniem. To straszliwie bolesne, bo Bóg dał mu czas na odmianę złego. To taki człowiek – mówi moja żona. I pewnie ma rację. Zupełnie inaczej wyobrażałem sobie nasze pojednanie. Dziś dzwoni do mnie co kilka tygodni i opowiada o swoim słodko-kwaśnym życiu: jak to wyszedł z biedy dzięki ciężkiej pracy, aż stał się kimś – lekarzem w uzdrowiskowej miejscowości na północy Niemiec. Opowiada o tym, że pieniądze rządzą światem. Być może dlatego właśnie tak bardzo je lubi. Nie znam przypadku, aby chciał się nimi podzielić z kimkolwiek, nawet gdyby od tego zależało czyjeś zdrowie lub życie. Te wszystkie słowa stanowią rodzaj prywatnej mantry. Musi ją sobie przypomnieć przynajmniej kilka razy na dzień, inaczej nie mógłby istnieć. Mój ojciec jest dokładnie tym, kim nigdy nie chciałbym zostać. Gdybym kiedyś zbłądził, stałbym się podobny do niego. Czasami czuję go pod skórą i wiem, że istnieje we

mnie. Boję się go. Nie ma dnia, abym się za niego nie modlił, tylko tyle mogę dla niego zrobić. Modląc się za niego, modlę się zarazem za siebie.

Wracając do życia po trwającej półtora roku chorobie, pozostawiłem za sobą na rozmaitych dworcach wiele bagażu, uciekałem nagi z domu żałoby przez otwarte drzwi, jak więzień z więzienia, jak skazany spod szafotu, uciekałem, wszystko zostawiając za sobą. Moi czekali na mnie. Mój Boże, jak bardzo ich kocham. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę z tego, jak piękne jest życie. Całymi dniami płakałem ze wzruszenia. Bóg dał mi szansę zacząć wszystko od nowa, ja, co kiedyś wielokrotnie i być może publicznie zapierałem się Go, miałem szansę teraz mówić: znam mojego Pana. Jest nim Jezus Chrystus, On jest moim życiem. Jednego dnia przestałem się lękać poniżenia, choroby i śmierci. Trafiłem na prościutką drogę. Była tu zawsze, obok głównego traktu, ale ja, ślepiec nad ślepcami, nie dostrzegałem jej, kluczyłem, błądziłem.

„KTO MA SERCE, MOŻE BYĆ ZBAWIONY”

Historia młodego rozpadającego się małżeństwa skłoniła mnie do zastanowienia się nad przyczynami klęski tylu związków, nad rozpadem domów, które widziałem jako piękne, syte, z pozoru można by przypuszczać – bogobojne. Rozwody wśród moich przyjaciół są na porządku dziennym, słyszę często: „Kiedy dorabialiśmy się, byliśmy razem, mieliśmy jakiś cel, wspólnie go realizowaliśmy”. Mówią o oddaleniu, o tym, że partner okazał się zupełnie innym człowiekiem niż był, mówią też o seksie, tej psującej się z latami korbie mechanizmu miłości. Mówią: „Kochałam go, a teraz nie mam o czym z nim rozmawiać”. Słucham tego z ogromnym smutkiem. Przypominam mój ulubiony cytat ze św. Augustyna: „dopóki walczysz, jesteś zwycięzcą”. Tymczasem oni nie chcą walczyć, nie wierzą w wartość tego, co posiadali. Nie mają świadomości, że byli powołani przez Boga do szczególnego posłannictwa. Mówią, że stawali przed ołtarzem, bo tak nakazywała tradycja. Kiedy czasami pytam, czy Bóg był dla nich ważny, czuję poirytowanie. A ja przecież wiem, że On powinien być pierwszy, wtedy wszystko działa, cieszy, ma sens.

Będziesz kochał Pana Boga swego... Kto dziś poważnie traktuje ten nakaz? W najlepszym wypadku najważniejsza w naszym sercu pozycja zarezerwowana jest dla matki, żony i dzieci. Są jednak i inne gradacje, gdzie bogiem staje się pieniądz, kariera, seks. Świat tak zbudowany musi się zawalić, stąd powszechne poczucie pustki, rozczarowanie, depresja. Tragedią naszych czasów jest, że wyrugowały ducha. Tam, gdzie była religia, zawierzenie, pokorne pochylenie głowy, dziś pojawia się magia, demon wiecznego nienasycenia. Mamy przed sobą świat absolutnie cielesny. Dziś liczy się ciało, jego zdrowie, siła, młodość i sukces.

Z trwogą opuszczam oczy. Muszę się przecież na to wszystko godzić, sam nie wiem w imię czego. Podobno w imię demokracji. Oni mają prawo rozprze-

strzeniać pornografię, przemoc, a nawet satanizm, podczas gdy ja muszę to znosić milcząco. Inaczej jestem przedstawicielem ciemnogrodu. Wybaczcie, ale mam wrażenie, że nasza cywilizacja, zapominając zupełnie, jakie są jej fundamenty, stara się na jakiejś podłej pustyni wznieść kolejną wieżę Babel.

Coraz częściej słyszę o naszej wszechmocy. Bogom podobni – tak lubili o sobie mówić Grecy i Rzymianie. Przeminęli, zostały po nich ruiny. To koniec czasów. Nie wiem, ile jeszcze lat trwać będzie ten świat, ale wszystko zdaje się wskazywać, że niedługo. Ani mnie to przeraża, ani smuci. Pilnuję swojej miary i staram się codziennie modlić o miłosierdzie dla siebie i bliskich. To dzień miłosierdzia, po nim nadejdzie dzień sprawiedliwości. To niedługo – jutro, za kilka miesięcy, a może kilkadziesiąt lat. Bóg powróci, aby sądzić żywych i umarłych, a królestwo Jego nie będzie miało końca. Jestem za głupi, sprawdziłem to wielokrotnie, aby poradzić sobie z różnymi faktami, których złożoność wydaje mi się niepojęta. Działając pod wpływem różnych napięć, popełniam błędy jak Piotr. Ileż to razy po czasie dopiero dostrzegałem swój grzech. Nie bagatelizuję go, ale też nie hołubię. Za nic mam podszepty diabła.

Bóg wezwał mnie po imieniu, nazwany zostałem synem Bożym. Dla mnie ten świat to zaledwie preludium wieczności. Nie zamierzam się tu dorabiać, mam raczej zamiar ograbić się ze wszystkiego, mam raczej zamiar wchodzić w cierpienie, niż go unikać, bo chcę oczyścić się z tego, co nie pozwala mi dojrzeć w moim bliźnim brata Judasza. Jedna chwila jego i mnie dzieli od... potępienia lub zmartwychwstania.

„Kto ma serce, będzie zbawiony” – napisał Abba Pojmen. Choćby kogoś oburzył mój sąd, chcę wierzyć, że on, ten łajdak, który zdradził swego mistrza, a potem ze smutku odebrał sobie życie, że on dozna kiedyś przebaczenia. Modlę się za Judasza, jak modlę się za swojego ojca, jak modlę się za siebie. Zwracając arcykapłanowi pieniądze, krzychał przecież: „Zgrzeszyłem, wydając krew niewinnego” (Mt 27, 4). W ten sposób wyznał swoją winę. Czy Bóg mu odpuścił? Nie wiem.